

Przemysław Karbowski

Polowanie na Diane



RW2010

PRZEMYSŁAW KARBOWSKI
POLOWANIE NA DIANĘ

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2018
Redakcja: Joanna Śłużyńska
Korekta: Robert Wieczorek
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © Przemysław Karbowski 2018
Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński
Zdjęcie na okładce © Jean Beaufort
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2018
e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-236-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Kłopot polegał na tym, że Artur zawsze był niewyraźny, niezależnie od tego, czy akurat zarażał jakimś chorobskim, czy też był zdrow jak ryba. Najbardziej niewyraźnie prezentował się, gdy czymś się przejął, a w przejmowaniu się przeróżnymi rzeczami był z pewnością w naszej kategorii wiekowej rekordzistą województwa katowickiego i bił mnie w tej pięknej konkurencji na głowę. Być może w Arturze drzemał potencjał mistrza świata wszechwag w przejmowaniu się? Tak, to było całkiem możliwe. Po śmierci Louisa de Funesa nie spał przez trzy noce, po zamachu na Sadata raptem dwie i pół. Gdy Wójcicki walnął w Chorzowie samobójca w meczu ze Związkiem Sowieckim, Arturek zrobił sobie dwudniową przerwę w jedzeniu, a kiedy najzupełniej zasłużenie dostał pałę ze środowiska społeczno-przyrodniczego, przez pozostałe cztery lekcje siedział nieruchomo z językiem wepchniętym w policzek i rozpamiętywał klęskę, chociaż nikt go w domu nie lał za złe oceny. Nikt go w domu za nic nie lał i może w tym właśnie tkwił klucz do rozwiązania jego zagadki. Wytrzeszczone oczy mojego kompaniona i nerwowe drapanie się za uchem były niczym otwarta księga, w której wielkimi wołami zapisano prawdę o zjawisku często spotykanym – mój kompanion Artur znowu się czymś przejął. Wyczytałem to bez trudu i delikatnie skłoniłem go do wyznań, bo jak mniemałem, po to przyszedł.

W miarę jak Artur mówił, ja z kolei zaczynałem tracić na jakiegokolwiek wyrażności, z przerażenia pogubiłem się w jego opowieści, a resztki zdrowego rozsądku nakażały mi szukać słabych punktów i nieścisłości w przytaczanej przez niego relacji.

– Chwila, chwila... – Mitygując Artura, z trudem przybrałem lekceważący wyraz twarzy, choć już leciutko trzęsły mi się łydki. – Jak to Matka Boska spadła? W Częstochowie spadła?

– Przecież mówię, że w Częstochowie. Normalnie obraz zleciał na ziemię, nic się niby nie stało, ale jak się przyjrzeni, to... – Artur zawiesił złowroźnie głos.

– Z gwoździa spadła? – Nie dawałem się zbyt łatwo omamić. – Tak sama z siebie?

– Matka Boska nie spada tak sama z siebie – pouczył mnie Artur tonem co najmniej kardynała. – A czy z gwoździa? Hmm, nie wiem... Może z wkrętu kołkowego? Może ze śruby? Czy to coś zmienia?

– No, nie – przyznałem. – I co, blizny się jej przedłużyły?

– Przecież mówię, że się przedłużyły. – Artur wpadał już w manierę nieomal prefekta Kongregacji Nauki Wiary. – Mówią, że pierwszy raz przedłużyły się po zamachu na papieża. Teraz jest drugi raz. Jak ta dłuższa dojdzie do serca, będzie koniec świata. A blizny są od teraz większe na wszystkich obrazach Matki Boskiej Częstochowskiej. Tak słyszałem.

– To się okaże – mruknąłem jak wcielenie niedowiarstwa, ale Artur wyczuł, że przemawia przeze mnie zwykły lęk przed końcem świata.

Wlażłem na krzesło, by ściągnąć ze ściany niewielkich wymiarów wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, bo w każdym szanującym się polskim domu powinien być przynajmniej jeden. My mieliśmy dwa, ale pod drugim trwała akurat nagonka na wujka Mietka, więc musiał chwilowo wystarczyć mniejszy egzemplarz. Zignorowałem

przeróżające w proporcjach względem matki dzieciątko Jezus i skupiłem uwagę na bliźnich na szyi Maryi Dziewicy.

– Bo ja wiem – dumałem nad obrazkiem niby rozluźniony, ale ni z tego, ni z owego zacząłem się pocić. – Nie jestem pewny, ale kurka wodna, jakieś takie dłuższe chyba są. Sprawdzałeś u siebie?

– Bałem się, ale sprawdziłem. Chyba dłuższe. Do serca za dużo nie brakuje. Jeszcze raz spadnie w Częstochowie i...

– Zamknij się! – przerwałem brutalnie. – Nic nie mów! Mam nadzieję, że już tam zadbali, żeby ją porządnie zawiesić. Gdzie jak gdzie, ale w Częstochowie powinni mieć najlepszych fachowców.

Artur patrzył na mnie wzrokiem, w którym politowanie sąsiadowało z fatalistycznym nastawieniem.

– Jak będzie miała spaść, to i tak spadnie – zawyrokował. – Choćby była przyspawana. Jak taki koniec świata może wyglądać?

– Przestań! W ogóle skąd się o tym dowiedziałeś?

– Od Papierskiego.

– Uff, to nie ma problemu.

– Ale Papierski dowiedział się od Alberta.

To zmieniało postać rzeczy. O ile Michaś Papierski to był łgarz i ogólnie osobnik lubujący się w robieniu ludzi w konia, o tyle Albert Sroka był statecznym dwunastolatkiem ważącym słowa i ładnych parę kilogramów, w dodatku noszącym okulary o grubych szklach, które dodawały mu powagi i fasonu. Albert nigdy nie kłamał ani nie rozsiewał informacji niepotwierdzonych. Jego relacje były rzeczowe, suche i pozbawione ozdobników. Podawał tylko i wyłącznie fakty najistotniejsze, pomijał barwne szczegóły. Złoty chłopak. Tylko jeśli Albert opowiedział tak straszną historię w formie przekazanej mi przez Artura, trzeba było wziąć poprawkę na okoliczność, że jest to niezbędny szkic okropności, która się dokonała, a prawda prezentuje się jeszcze gorzej. Na przykład, że spadająca Matka Boska przygniotła jakiegoś biskupa, który zmarł w karetce, która to karetka na sygnale wjechała w tłum pielgrzymów, zabijając siedem osób, w tym troje dzieci, i poważnie raniąc dwanaście. Z drugiej strony Albert Sroka był w pełni usprawiedliwiony – cóż znaczy jeden martwy biskup i siedem świeckich trupów, gdy idzie o koniec świata?

– To jak może wyglądać taki koniec świata? – dopytywał Artur.

– A skąd ja mam wiedzieć? – Zdenerwowałem się. – Jeszcze żadnego nie widziałem. Zajrzyj do Apokalipsy, tam jest wszystko ze szczegółami, ale słyszałem, że to blaga. Nie, nie zaglądaj do Apokalipsy.

Za późno ugryzłem się w język i kłamałem jak z nut, twierdząc, że nic nie wiem, przyznaję, ale robiłem to w dobrej wierze. Nie chciałem, żeby mój kompanion Artur umarł z wyczerpania po nieprzespanym tygodniu albo żeby się zagłodził na śmierć w przypływie kolejnego przejęcia się. Jeśli koniec świata miał nadejść w nieodległej przyszłości, wolałem wobec tego wydarzenia trząść portkami nogawka w nogawkę z Arturem i perspektywa jego zejścia z tego padołu przed rychłym dniem ostatecznym wydawała mi się cokolwiek przykra i bezsensowna. Za wszelką cenę chciałem oszczędzić mu przedwczesnej śmierci z przejęcia, więc nie wyłożyłem mu ze szczegółami,

na co się zanoszą, mimo że uzyskałem pewną w tym temacie wiedzę, bawiąc z rodziną na wczasach w Kątach Rybackich.

W ramach zasłużonego górniczego odpoczynku mojego ojca oglądaliśmy podlane mazutem morze i zbieraliśmy bursztyny, aż któregoś dnia niespodziewanie wywieziono nas do Gdańska na wycieczkę. W Kościele Mariackim wylądowałem przed „Sądem Ostatecznym” Memlinga i nie wyglądało to dobrze. Chociaż to była tylko kopia, wyglądało bardzo źle, a na myśl, że kiedyś tam z okazałym bagażem grzechów przeważę na wadze jakiegoś bubka, który nie wychodził z kościoła przed komunią i nie miał dziecięcych rozterek duchowych, a włochate diabły zapędzą mnie do grupy potępionych, zrobiło mi się słabo. Mogłem się tylko pocieszać, że i ów anonimowy bubek, którego niezbyt wyraźny kształt majaczył mi przed oczami, może się na tym ważeniu zdrowo przejechać, bo oddziałek zbawionych też nie prezentował się specjalnie wesoło. Nie, nie, kompanie mój, Arturze, nie opowiem ci o tym, jak koniec świata ma wyglądać. Nie zasypię cię detalami wizji pana Memlinga, która być może nijak ma się do tego, co będzie, ale lepiej na zimne dmuchać. Nie pokażę ci nawet małego fragmentu „Sądu Ostatecznego”, który znajduje się w mojej encyklopedii.

Nie pokażalem i Artur przeżył.

– Co robić? – zapytał Artur niczym Lenin.

Artur zadawał same dobre pytania. Jak wygląda koniec świata? Co robić w obliczu końca świata? Co do czynności, które mogą być podjęte, gdy koniec świata o krok, możliwości było wiele. Iść w końcu do rzetelnej spowiedzi, najlepiej do proboszcza Pasięki, który oprócz pokuty zafunduje jeszcze publiczne pośmiewisko – to była dobra opcja. Zwiększała szanse wyjścia z opresji obronną ręką, jeśli by faktycznie Panu Bogu przyszło do głowy rozliczyć nas z pyskowania rodzicom i olewania proboszcza Pasięki. Ale w to raczej wątpiliśmy. Ukorzyć się przed proboszczem Pasięką i w nagrodę spotkać się z nim w Niebie? Jezus Maria! To byłby figiel złośliwego bożka, a nie wyrok dobrego Boga, w którego planach fakt istnienia proboszcza Pasięki może dałby się usprawiedliwić jakimś większym dobrem, ale wpuszczenie szanownego proboszcza na salony niebieskie zakrawało na krzyżącą niesprawiedliwość.

Dać sobie spokój i biernie czekać na rozwój wydarzeń – to też była dobra opcja.

Nie czekać biernie i z nadzieją na bezkarność we wszechobecnej anarchii, która biorąc rzecz na zdrowy rozum, powinna końcowi świata towarzyszyć, ale dać popalić wrogom, od których, kiedy człowiek ma dziewięć lat, aż gęsto – to była jeszcze lepsza opcja. Gdybyż tak przebić w aucie opony sąsiadowi z dziesiątego piętra! Kretynowi, ponieważ był wysoki i nie rozpoznawał drobiazgu moich gabarytów, wydało się kiedyś, że jestem dzieciakiem z innego bloku, przybyłym siał zamęt i zniszczenie na naszej klatce schodowej. Skurczybyk boleśnie złapał mnie za ramię i poddał szczegółowemu śledztwu, kim też jestem, gdzie mieszkam i co tu robię. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, więc łaskawie mnie puścił, ale i tak palantowi nie wybaczyłem. Co ja mówię, żeby tylko przebić opony! Napchać kawałków lodu do rury wydechowej, zapaskudzić wycieraczkę, nawtykać zapalek do zamka komórki, nasikać do woreczka po mleku, oprzeć go o drzwi, zadzwonić i w pośpiechu, ale z godnością, wycofać się co najmniej na parter. Scenariusze przelatowały mi przez głowę, a co jeden to lepszy, każdego było szkoda.

– Co robić? – powtórzył Artur niczym Lenin, czym wyrwał mnie z błogostanu moich widzeń.

Otrząsnąłem się jak po wyjściu z wody i sam się nieco sobie dziwiąc, wydałem rozporządzenie tyleż zachowawcze, co sensowne i niegłupie.

– Robimy tak: ponieważ Papierski jest kłamliwym pajacem, można uznać, że cię okłamał, mówiąc, że powiedział mu to Albert. Chciał ci po prostu dokuczyć, bo wie, że wszystkim się przejmujesz. Sam tej historii nie wymyślił, na to jest zbyt głupkowaty. Po prostu coś gdzieś usłyszał od takich jak on kłamliwych pajaców, a teraz powtarza i śmieje się jak głupi do sera, jaja sobie z ciebie i Matki Boskiej robi, i tyle. Pojedzie do piekła tym samym transportem co proboszcz Pasieka. Na lokomotywie, żeby być tam jak najprędzej. No i jak? Lepiej ci?

– Chyba lepiej. – Artur wyraźnie odetchnął. – Ale co będzie, jak spotkam Alberta i on mi powie to samo?

No tak. Musiał znaleźć dziurę w całym, zburzyć taką piękną konstrukcję myślową. Ale nie dałem się zbić z pantafiku.

– Przede wszystkim rób wszystko, żeby Alberta nie spotkać. A jak już go spotkasz i rzeczywiście powtórzy ci tę samą bajkę, powtarzam bajkę, to pomyśl sobie, że Albert Sroka został przez kogoś zrobiony w balona, dał się ordynarnie nabrać. Zawsze musi być ten pierwszy raz, nie? Alberta też można wykiwać, uwierz w to.

Po prawdzie, to sam nie za bardzo w to wierzyłem, ale podbudowała mnie ufność Artura w moje słowa, bo chłopak wyglądał już na niemalże spokojnego, nawet przestał drapać się za uchem.

– No to fajnie. Skoro mówisz, że ktoś chciał nas zrobić, pewnie tak było. Lepiej, że koniec świata nie nastąpi, bo rodzice chcą kupić we wtorek pralkę. Mają rzucić w sklepie na Trzydziestolecia, wiesz? Na „G”.

– Co ty powiesz? – Nie okazałem zbytniego entuzjazmu, bo jeszcze nie wiedziałem, że uzyskana od Artura informacja narobi wkrótce niemałego zamieszania.

– Powiem, że chyba już pójdę. Jakoś tak lżej żyć z myślą, że to była bujda.

– Żebyś tylko jadł i spał, rozumiemy się? Nie gap się na Matkę Boską, nie myśl o tym, nie kombinuj, dobra? Do Apokalipsy też nie zaglądaj, słyszysz? Pod żadnym pozorem nie zaglądaj do Apokalipsy! A we wtorek wypiorą ci sweter w nowej pralce.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

Katarzyna Kowalewska: PIJANY SKRYBA

Maciej, Sylwek i Mario kontra bardzo źli ludzie.

Bycie Maćkiem to łatwizna. Wystarczy żyć ze spadku, mieć dobrze zbudowanego kumpla, wracać do domu nad ranem i podrywać dziewczyny o dziwnym głosie. Aha, i wypiąć się na rodzinę. Lecz gdzieś w środku imprezy, gdzieś między Brzeską a Targową, ktoś robi Maćkowi kuku, ktoś okrada jego mieszkanie, ktoś zostawia mu list. A to dopiero początek kłopotów.

Wyjście z tarapatów ma zapewnić makieta, latynoska córka polskiego Amerykanina i podróż do przeszłości. Kto wygra bitwę na kury? Co skrywa pudełko od przekupki ze Zgierza? Co łączy punk rocka z wojskiem polskim? Kim jest człowiek w gumofilcach? Jak klątwa *voodoo* działa na odległość? Co można ukryć w męskich spodniach?

Na te i inne pytania odpowie Maciek i jego ekipa komorników. W szalonej powieści, pełnej ciętego humoru, dziwnych przypadków i nagłych zwrotów akcji. Spróbuj się nie roześmiać!

Joanna Łukowska: PAŃSTWO TAMICKIE

Kraina niezwykłej codzienności.

Powieść obyczajowa w dwudziestu epizodach, które łączy para bohaterów – młode małżeństwo, wchodzące w dorosłe życie na przełomie lat 80-tych i 90-tych ubiegłego wieku. Zaczyna się od „ślubu z rozsądku”, czyli... dla mieszkania. Takie były czasy, że osobie samotnej przysługiwała zaledwie kawalerka, a małżeństwu „aż” M3. Sporo humoru w codzienności, czasem zaskakujący finał, trochę wzruszeń i smutku, trochę grozy, odrobina magii... Jak to w życiu.

Bohaterami są ludzie, duzi i mali, zwierzęta, duchy oraz święci.

Książka, która bawi, wzrusza i pokrzepia. To patchworkowa opowieść, w której kolejne rozdziały są jak kolorowe kawałki kołdry – każdy inny, ale razem tworzą zgrabną i ciepłą całość.